Nr. 51. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 19. Grudnia 1846.*



Ruiny Faranu.

Podróż z Teb do półwyspu Sinai.

(Dokończenie.)

W nocy z ostatniego Marca na pierwszy Kwietnia cierpieliśmy wielkie zimno, a jeszcze mocniejsze przyszło wytrzymać w pochodzie na dniu 1. Kwietnia, chociaż jeszcze było 5° ciepła; lecz musieliśmy jechać pod wiatr północny gwałtowny i bardzo zimny, nie będąc w ciepłe opatrzeni suknie. W tym dniu natrafiliśmy na obóz Arabów, składający się z namiotów pokrytych szaremi kołdrami z włosów wielbłądzich; tylko kobiety i dzieci znaleźliśmy w obozie, które nas jednak z położeniem okolicy obznajmiły. Kobiety nawet na pustyni noszą zasłony na twarzach, a do tego białe; przeciwnie zaś kobiety nad Nilem noszą czarne zasłony. Kobiety te nie były szczególniejszéj piękności; oczy tylko zupełnie czarne, ogniste i świetne, są nadzwyczajnéj piękności. Czarne włosy splatają w węzeł nad czołem. Ubiór ich stanowi obszerna suknia z przestronnemi rękawami, bez talii, a na tym przez głowę przerzucony kawał materyi, zamiast woala, koloru zazwyczaj niebieskiego. Niektóre z tych kobiet były bardzo ciekawe i naprzykrzone; częstowały one nas rozczynem sérowatego mleka i świeżego zakalistego chleba. Po jednogodzinnym pobycie, rozłączyliśmy się z niemi, zostawując im mały podarek pieniężny. Około południa weszliśmy całkiem w kraj kamiennopiaskowy, a pół do trzeciéj stanęliśmy pod górą Sarabit el Chadem, gdzieśmy spotkali naszego dragomana z powrotem. Wynaleźliśmy tutaj dogodne miejsce do dłuższego pobytu; zebrało się też naokoło nas z ciekawości wiele Arabów, którycheśmy wnet odpędzili. Ludzie ci nie noszą wcale spodni, tylko długą białą bawełnianą koszulę; tę przepasują nad biodrami szerokim, skórzanym pasem, za którym tkwi długi nóż krzywy; na to wdziewają oni obszerną wełnianą, w białe i czarne pasy robioną suknią, która jest otwartą z przodu. Na głowie noszą ogromny turban. Oprócz noża uzbrojony każdy jeszcze flintą ze skałką. Na nogach mają sandały. Resztę dnia tego użyliśmy na wdarcie się na górę, aby ztamtąd się zoryentować. Znaleźliśmy ruiny egipskiéj świątyni z wielą wązkiemi i wysokiemi kamieniami, które są obsypane hieroglyfami; kamienie owe ze względu na ich formę są bardzo rzadkiemi. Miejsce bóstwa pobytu wykute w skale i jest najdawniejszą częścią, zbudowaną za króla Möris (Amenemhet III). Na ścianach, filarach i siedzeniach (owych wspomnianych kamieni), są jeszcze nazwiska dziesięciu królów. — To stare miejsce nazywa się w hieroglyfach „Mafket“ — miejsce miedzi. Było ono siedliskiem egipskiéj osady, wydobywającéj w okolicy miedź i topiącéj ją w tém miejscu, na 500 stóp wysokiém połączeniu gór. Tego dowodzą na wielu otwartych miejscach znajdujące się pagórki ze żużli. Piece do topienia były pewno bardzo proste, a zamiast miechów, zdaje się, że ci ludzie po prostu używali wiatru północnego. Żużle owe zawierają znaczną ilość żelaza, jak w ogóle spiż jeszcze teraz dobywany więcéj ma w sobie części żelaznych, jak miedzianych.

Następnego dnia zdejmowaliśmy jeszcze ruiny świątyni, jéj gruntrys, zdejmowaliśmy napisy i szkicowaliśmy je. Nazajutrz porzuciliśmy Sarabet el Chadem, dążąc do studni Nasb, do którejśmy się dostali po trzygodzinnéj podróży. Napotkaliśmy tutaj wiele ludzi i bydła, którzy już to wodę do domu brali, już trzody poili. Cały dzień szukaliśmy na próżno pieczar około téj studni, które Rüppell był widział. Dopiero nazajutrz opuściliśmy Nasb, a następny odpoczynek nocny miał być na okręcie. Droga aż do tegoż była bardzo zajmującą; prowadziła ona przez długie Wadi-Gich en Nasb, gdzie był wielki urodzaj; szczególniéj palmy się odznaczały, podsycane słodką i słoną wodą; słona woda strumyczkiem przebiegała dolinę, słodka zaś zbierała się w kilku dołach. Strome granitowe góry, 1000 stóp wysokie, tworzą tutaj ściany doliny, które się często na pięć kroków z sobą schodzą. Ziemie tu tworzył gruby żwir granitowy. W téj dolinie spotkał nas drobny, przenikający deszcz, który się już stał dla nas rzadkiém zjawiskiem natury; lecz na szczęście trwał tylko pół godziny. Z doliny Wadi-Gich en Nasb przeszliśmy znów w góry piaskowcowe, a z tych w okolicę kamienia wapiennego, którego góry „Buttra“ się zowią. — Tutaj zrobiliśmy skręt we Wadi-Szellal (dolinę wodospadów), dla oglądania napisów, które nam Arab pokazał. Po południu wydostaliśmy się z gór nad brzegi morza, ztąd ciągle postępowaliśmy wybrzeżem ku północno-zachodniéj stronie, ku naszemu okrętowi, który

stał na kotwicy za przylądkiem Marhât w Mersa (w miejscu ładowania) Abu-Selime. — Mieliśmy tutaj z pewnością rzadkie widowisko z czterech czeladników — widowisko razem rzadkie i śmieszne, z powodu ich postawy i ubioru. — Wszyscy bowiem czterej nie mieli jeszcze nawet miary, żołnierzom przepisanéj, ubrani byli po europejsku, a trzech z nich miało okrągłe kapelusze z ogromnemi skrzydłami, właśnie takie, jakich używają wędrujący sławiańscy druciarze; czwarty przeciwnie — stolarczyk — miał kapelusz słomiany, i jako starszy, umiejący nieco po arabsku, był naczelnikiem wszystkich czterech. Trzej inni byli: jeden szewcem, drugi fabrykantem pończoch, trzeci krawcem damskim. Ci dobrzy ludzie — sami ziomkowie, a do tego ze Szląska, przedsięwzięli byli odbyć rodzaj przechadzki, jak sobie podróż tę wystawiali, z Kairu do góry Sinai. Zbłądziwszy w górach, a spostrzegłszy z daleka okręt i spodziewając się w nim z pewnością znaleść ludzi, udali się do okrętu, i dostali się takim sposobem w dobre ręce; przyjęliśmy ich bowiem na okręt, daliśmy im pokarmów i napojów. Ich wory do chleba i do wody tak były urządzone, jak żeby na gościńcu miało się znajdować tysiącami karczm i gospód. Tak mało mieli oni wyobrażenia o tym kraju. Nazajutrz, 6go Kwietnia, o pół do siódméj, odbiliśmy przy najpomyślniejszym wietrze wraz z naszemi gośćmi od brzegów Abu-Selime, a po dziewięcio-godzinnéj szczęśliwéj podróży stanęliśmy w Tur. Tu wysadziliśmy naszych Szlązaków na brzeg, i urządziliśmy rzeczy w ten sposób, żeby się prędko, bezpiecznie i bez biedy dostali do klasztoru; dnia następnego odpłynęliśmy znów od brzegów w kierunku Kseir. Podróż naszą odprawialiśmy między afrykańskim stałym lądem a jego wyspami pierwszego dnia bardzo pomyślnie, bośmy pół drogi prawie od razu odbyli. Pierwszą noc przepędziliśmy przy Abu-Munkâr na stałym lądzie, naprzeciw wyspy Jaffatin. Przed odbiciem od brzegu przypłynęła do nas łódź, w któréj znajdujący się ludzie ryby za mąkę u nas wymienili. — Drugą połowę drogi tém dłużéjśmy odprawiali, bo aż trzy dni; raz bowiem była cisza zupełna, drugi raz znowu wiatr wiał przeciwny, i to właśnie pochód nasz tak bardzo utrudzało. Na drugim dniu naszéj podróży przypłynęliśmy aż do ławy piasku Safaïg. Do téj popłynęliśmy sami w ten czas, kiedy okręt na miejscu spoczywał, racząc się pięknością najrozmaitszych muszli, ślimaków i korali. Szczególnie zabawnie przedstawiały się nam raki, tak nazwane „pustelniki“, kiedy uciekały przed nami ze swemi domkami ślimakowemi, w razie przeszkadzania i napastowania ich śpiesznie się przewracając i nieżywemi czyniąc. Niemniéj nas ubawiły wielkie raki, „kieszonkowemi“ nazwane, uciekając na swych długich, cienkich i sztywnych nóżkach, niby myszy, do swych głębokich i prostopadłych nór w piasku.

Trzeciego dnia naszéj podróży przypłynęliśmy do zarośli koralowych, u którycheśmy zarzucili kotwicę. Przepędziwszy noc następną w pobliżu Kseir, wylądowaliśmy 10. Kwietnia przed Kseir w pośród 30stu nieomal okrętów. Said-Muhamed, agent angielski z Kenneh, przebywał właśnie w Kseir, a dowiedziawszy się o naszém przybyciu, przyszedł po nas i w swym domu ugościł. Kseir leży bezpośrednio nad morzem w bardzo nieżyznéj okolicy, która mało ma w pobliżu wody, a która oprócz tego już jest zupełnie nie dobra; sprowadzają tu wodę z gór o kilka godzin drogi, którą handel prowadzą w mieście. Miasto to ma dość dobry, drewniany Molo. Liczba domów nie wielka, nie przechodzi 100. Za naszego pobytu był tu rządcą Szerim-Bee, któremuśmy oddali wizytę. Dom jego wytworny i wielki, nawet oknami szklannemi opatrzony, co tutaj jest wielką osobliwością. Po obiedzie zwiedziliśmy ruiny starego Kseir, o półtoréj godziny oddalone, lecz nic nie znaleźliśmy tamże uwagi godnego. — Dnia następnego opuściliśmy Kseir, odbywając podróż już na wielbłądach, i dążąc z weselem w sercu przez pustynią ku Nilowi. Bardzośmy dobrze pojęli tęsknotę Izraelitów za wodą Nilu i mięsem, bo i my tego sobie jak najbardziéj życzyliśmy. Zdawało nam się, że jedziemy do ojczyzny; od półtrzecia roku zamieszkaliśmy w ziemi Nilu, a 6 tygodni temu było, jakeśmy tę ziemię opuścili, którytо czas spędziliśmy w zupełnie innéj części świata i w obcym kraju; teraz znów mieliśmy wstąpić na ową znajomą i miłą nam ziemię, i zobaczyć miłych nam przyjaciół, ja zaś pozostałego brata. Pierwszego dnia około południa przybyliśmy do Biringlese (angielska studnia), którą w roku 1800 żołnierze angielscy byli wykopali, powracając z Indyów i mając zamiar walczyć z Fran-

cuzami o Egipt. Pierwszą noc przepędziliśmy przy domu stacyjnym rzymskim Akalet sel es Soliman. Drugiego dnia wypoczęto nieco u wód Sid. Za tą wodą pozdrowiliśmy znajomą dolinę Hammamât, gdzieśmy drugi nocleg odprawili. W południe trzeciego dnia wyjazdu z Kseir ujrzeliśmy już piękne góry libijskie z tamtéj strony Nilu, a w wieczór rozbiliśmy namioty przy studni Łekita. Nimeśmy jednak tu dotąd zdążyć byli w stanie, napadł nas nagle okropny orkan ze wschodu, pędzący przed sobą grube chmury kurzu, które nas zupełnie pokryły, a po kilku chwilach daléj przeleciały. Jestto zazwyczaj znakiem nastąpić mającéj burzy, która jednak tą razą na szczęście nasze nie nastąpiła. Czwartego dnia nie udaliśmy się już wcale do Kenneh, lecz wprost do Karnak, do Tebów. Około południa dnia następnego wyszliśmy z pustyni do kraju żyznego. Zielone pola uśmiechały się do nas; Fellahîn (chłopi) trafiali nas, pozdrawiając zwykłém powitaniem: „Bakdżisz ja Hanadże!“ (Na piwo, o Panie!) które u nich przeciw Europejczykom zawsze na języku, a które szczególniéj dzieciom w pamięć wbijają. We wsi Okob zesiedliśmy z wielbłądów, usiedliśmy w pobliżu maszyny czerpiącéj wodę w cieniu drzewa i napiliśmy się znów po raz pierwszy Nilowéj wody. Gromada kobiet i dzieci zkupiła się około nas z ciekawości, spożywając zostawione przez nas kości z kur. Ale nie długośmy tutaj zostali, bo dążąc bez odpoczynku daléj, zobaczyliśmy wnet świątynię w Karnaku w oddali, także dwa obeliski ukazały się nam, niektóre bramy miasta Teb, niegdyś o stu bramach; opuściliśmy wreszcie tę kupę niezmierną ruin wraz z wielkim krużgankiem z filarów. Im się więcéj zbliżaliśmy, tém więcéj rozdzielały się owe potężne zwaliska. Nakoniec można było dojrzeć na budowach płaskorzeźby, a w kilka chwil potém wjechaliśmy do Karnak i uściskaliśmy naszych przyjaciół zdrowo i wesoło.

Uboga kuzynka.

(Ciąg dalszy.)

„Jam jéj nie zwodził, jam czuł wtedy to uczucie, lecz to było chwilowe, przelotne, to nie była miłość.“

„Aleś ty stargał przyszłość téj kobiety!“ zawołał drugi głosem wyrzutu. „Zerwałeś najpiękniejsze struny jéj dziewiczego serca, bo wiarę i miłość; — nikt ich teraz nie nawiąże, nigdy już dźwięku nie wydadzą.“

„Przysłanyś do mnie jak doktor,“ odrzekł drugi z półuśmiechem, „a unosisz się jak poeta.“ A potém czy sztuką, czy doprawdy, osiadł na jego twarzy wyraz czułości, czy politowania. „Mnie jéj serdecznie żal; — postąpiłem lekkomyślnie; zrobię wszystko, co będzie w mojéj mocy. Uproszę moję matkę, że ją napowrót weźmie — pomyślimy o jéj majątku na przyszłość, a zresztą czas zetrze i uspokoi to nieporozumienie domowe.“

„Tyś lekkomyślny — to dziwnie,“ wyrzekł drugi z przyciskiem. „Ale mój Henryku! nie rób mi tak przykrego zarzutu. Jakże? żądasz odemnie, żebym ją oszukiwał, żebym kłamał miłość, kiedy jéj nie czuję?“

„Widzę, jak ci łatwo zrywać związki, któreś z taką lubością zawiązywał. Ale prawda, cóż tam myśleć o jéj łzach, rozpaczach, przecież jéj to wynagrodzicie.“

„Dziwne to uprzedzenie myśleć,“ mówił Teodor znów z lekkim uśmiechem, „że odsuwając się od kobiety, téj już nic nie pozostaje jak rozpacz. A z tém wszystkiém, choć takie rozerwanie nastąpi po najgorętszéj miłości, to się zawsze na niczém kończy. Z początku łzy, łkanie, łamanie rąk, modły, czasem nawet chęć śmierci — a nakoniec wieczne zapomnienie i....“

„Nie mówmy już o tém,“ przerwał Henryk zimno. „Ale jak mogłeś porzucić, zostawić gniewowi twoich rodziców przyjaciółkę, towarzyszkę tylu chwil razem przeżytych.“

„Wiesz, jak starzy ludzie są podejrzliwi, bo ze swojéj młodości najlepiéj pamiętają uśmiechy i spojrzenia miłośne, a wszystkich innych, które były z chwilowego wrażenia, pamięć zatraciła. Dla tego każde zbliżenie młodéj kobiety i mężczyzny, już mają za intrygę miłośną. W pierwszéj chwili, niby téż moich rodziców nie było przekonało, dla tego się usunąłem, lecz teraz kiedy wystygli, jestem pewien, że to zrozumieją, i Julią w dom zaproszą.“ Henryk zdawał się już nie słuchać słów mówiącego, bo sięgnął po pisma, leżące na stole i zaczął je przerzucać, a Teodor, który z każdego zadrgnięcia jego twarzy umiał odgadnąć, co się w sercu działo, łatwo tam dostrzegł

wzgardę. — Znać to dostrzeżenie silnie w nim rozbudziło uczucie godności, bo żywy rumieniec oblał mu skronie — powoli nikł, a nakoniec pobladły mu lica i cierpko się zadumał. A choć wkrótce Henryk zabierał się do odjazdu, nie zatrzymywał go i jedném słówkiem, widać, że jego przytomność kamieniem mu ciężyła. Na pożegnanie wyciągnęli ręce po bratersku ku sobie, lecz ich dłonie ledwie się dotknęły, a już się rozpadły. „Kiedyż się zobaczymy?“ zapytał wskakującego na brykę Henryka. — „Nie wiem.“ — „Czy wyjeżdżasz gdzie w podróż?“ — „Może — nie wiem jeszcze.“ — I konie spiesznie go uniosły. A Teodor niekontent z siebie, nie rad nawet z całego świata, wrócił do pokoju.

VIII.

Julia już dwa tygodnie wśród ubóstwa matczynego przemieszkała. Choć ta najmniejszym gestem, najdrobniejszym słówkiem nie wypowiedziała swego smutku, ale je córka dostrzegła w skrytych łzach, w długich modłach, w bezsennych nocach, które matka przed nią taiła. Nadaremnie śpieszyła Julia z wyręczeniem jéj w najcięższych pracach, to podwajało tylko smutek matki, kiedy spojrzała na te białe drobne ręce, ujmujące okopcony garnek, na giętką kibić, uginającą się pod brzemieniem drzewa. „Moje dziecko! nie rób tego, bo mi serce z żalu pęknie,“ i spiesznie otarła łzę spływającą po licach. Julia zapewniała matkę jak mogła, że szczęśliwa przy niéj jak jeszcze nigdy nie była — że ta praca ją nie trudzi, nie męczy. Lecz odbierała zawsze odpowiedź: „Tyś do niéj nie stworzona, słabowita i delikatna; nie perswaduj mi, nie perswaduj“ — i płakać poczęła. A Julia znalazła moc do zniesienia tego wszystkiego! Bo ją czerpała w uczuciu, które napełniało jéj całą duszę, i budziło siłę na burze i przeciwności życia.

Po dwóch tygodniach ta sama bryczka zajechała przed ich okienko. Julia wyleciała z bijącém sercem na próg chatki, a ten sam chłopek z uśmiechem radości śpiesznie zeskoczywszy z bryczki, oddał jéj dwa listy. Dziewczyna cała drżéć poczęła, ujrzawszy na podpisie jednego rękę Teodora — otworzyła i znalazła te kilka słów:

„Wracaj panno Julio w dom moich rodziców. Matka moja puściła wszystko w niepamięć, a resztę czas uspokoi.“

Choć tu nie było najmniejszego słówka miłości, choć nawet był wymuszonéj krótkości i bez najmniejszego pozdrowienia, jednak dziewczynę szczęściem napełnił. Spojrzała na drugi list; ten był pod adresem matki. Wbiegła do izdebki, oddała go, a swój znów słówko po słówku, literkę po literce odczytywała. I za każdą razą znalazła w nim nowość, bo cała historya jéj serca zbudzona na raz, stanęła żywo przed jéj wyobraźnią. Zatopiona w tych myślach, nie spojrzała ku matce i nie widziała, jak ta na przemian, to bladła żalem, to się rumieniła oburzeniem. Czytała ona list hrabiny, w którym pisze: iż gotowa przyjąć Julią w dom napowrót, lecz przytém wylicza cały szereg jéj występków, o których poprawę ma ją matka upomniéć. Ah! były tam takie, że się matka nie wahała między nędzą swego dziecka a powrotem w dom, gdzie ją tak spotwarzano. I załamała dłonie i podniosła oczy ku dziewczynie, ale spotkała jéj twarz pełną szczęścia. Chwilkę się w nią wpatrywała, potém zapytała stłumionym głosem: „Od kogoż masz list?“

„Mam wracać do pani.“ I cała zarumieniona zbliżyła się do matki. „To on pisze,“ mówiła, podając jéj list.

Ta przeczytała i zapytała wahająco: „Pojedziesz?“ Julia w milczeniu uklękła przed matką, i całując jéj dłonie, oblewała gorącémi łzami. Biedne dziecko! jak ona go kocha, pomyślała i utopiła wzrok w postaci córki. Muskuły jéj twarzy ściągnęły się konwulsyjnie, jednak znalazła w uczuciu macierzyńskiém tyle mocy, że spokojnie wyrzekła:

„Wracaj, kiedy masz odwagę do zniesienia wszystkiego, lecz wyrzec się téj miłości, jeżeli masz siłę, a matka ci pobłogosławi.“

„Mamo! ja go tylko raz widzieć, raz jeszcze chcę usłyszyć, a potém, jeżeli każesz, pójdę w przeciwny koniec świata.“ I znowu zpłakane lica przyciskała do matki kolan.

„Jedź więc pod opieką twego Anioła stróża i Matki Przenajświętszéj!“ Uścisnęła córkę i podniosła się do układania jéj rzeczy, i niepostrzeżona wrzuciła list hrabiny w tlejący ogień na kominie.

W parę godzin już Julia była w drodze — gwiazda miłości świeciła przed nią, a ona spo-

glądając ku niéj, tak się silną czuła, iżby śmiało nadstawiła czoła śmierci.

IX.

Julia znów była w murowanym dworze. Zniosła ona wszystko, całe upokorzenie, w jakie ją jéj powrót stawiał, i uzbroiła się w cierpliwość, tę wielkość stałych i mocnych — żeby choć raz jeszcze ujrzyć, usłyszyć głos Teodora, a potém pójść gdzie w świat daleko i umrzéć. Tak czuła i tak robiła w zapale miłości, choć zimny obserwator nazwałby to brakiem godności. Lecz jéj dusza tak była pełną tego uczucia, iż wszystkie inne w niém tchnęły, a w takim stanie wiemy, gdzie się podziewają silna wola i refleksya.

Tymczasem płynęła godzina za godziną, dzień za dniem, a Teodora widać nie było, rzadko nawet wspominano jego imię.

Już ze trzy tygodnie przeżyła wśród tych samych zatrudnień, jak dawniéj, każdego tylko ranka i wieczora biegła na kamienną ławkę wśród leszczyny, i tu przechodziła myślą wszystko, co przegadali i przemarzyli, lecz nic nie znalazła, coby w miłości przewinieniem nazwać można, chyba tylko, że go coraz mocniéj kochała. Nie pojmowała więc, dla czego Teodor unikał jéj spotkania, dla czego ją porzucił, zapomniał może na zawsze.

Raz pod wieczór, biegnąc ku kamiennéj ławeczce, nagle stanęła, bo imię kochanka rozległo się śród leszczyny. Postąpiła kilka kroków i pochwyciła parę słów z rozmowy dwóch kobiecych głosów.

„Mais je vous assure, że to dójdzie Teodora, la comtesse Marie, z całém staraniem w dom go wprowadziła, a że przez nią rekomendowany, dość już żeby pannę dostał.“

„Podług ostatniego listu,“ mówił drugi głos, „już tam był trzy razy; zawsze dobrze przyjęty; nie podobna jednak, żeby się z deklaracyą ociągał, przecież to pięćdziesiąt mil drogi.“

Julia już daléj nie słuchała, ale spiesznie się oddaliła i w swoim pokoiku długo klęczała przed obrazkiem Najświętszéj Panny, lecz jéj usta i razu nie poruszyły się modlitwą, z oczu jedna łza nie popłynęła, nie nastąpił żaden wybuch boleści, ani rozpaczy, ale od téj chwili zniknęła ta siła, którą wzrastała i rozszerzała swoją duszę, bo odtąd kochała bez nadziei.

W kilka dni po owéj podsłuchanéj rozmowie, późno w wieczór, hrabiostwo i Julia byli w saloniku, kiedy wszedł Teodor. Wszystkich powitał jak zawsze i dziewczynę, zwykłym ukłonem. Ona nie zakraśniała radością, nie przestraszyła się, ani zdziwiła jego przybyciem, owszem raz tylko ku niemu spojrzała, a potém blada, z oczami spuszczonémi, siedziała na krześle wsparta, tylko dreszcz, który zlekka jéj ciało przebiegał, wypowiadał silne wewnętrzne wzruszenie. Przybyły troszkę pobladł, lecz przy małém oświetleniu pokoju, nikt tego nie dostrzegł, i choć zmieszany i z widocznym przymusem, prowadził jednak z rodzicami dość żwawą rozmowę. Lecz ta niema, blada postać dziewczyny, to zlodowaciałe cierpienie, zimnym potem oblewały jego skronie. Przyciśnięty, zmęczony jéj przytomnością, nie długo życząc dobréj nocy, wyszedł z salonu. Julia w téj saméj postawie chwilę jeszcze pozostała, jak gdyby poruszeniem lękała się przejść z przykrego snu, w przykrzejszą samą rzeczywistość.

Hrabiostwo spojrzeli na nią, ale wnet oczy spuścili, bo w jéj postawie tak było coś uroczystego i razem boleśnego — że i w nich budziło poszanowanie. Wszak są chwile w życiu człowieka, gdzie duch jego w całéj potędze wzniosłości lub boleści stawa przed okiem drugich, a wtedy wszystkie czoła z czcią lub bojaźnią pochylają się przed nim.

Nie długo podniosła się i wyszła machinalnie z pokoju, a pozostali jeszcze milczeli. Nareszcie hrabina, odwracając oczy od drzwi, które utkwiła za wychodzącą, zwróciła się do męża:

„To łazi jak trup.“

„Bo po co to było sprowadzać?“

„Wszak sam chciałeś, żeby się to nie rozniosło i nie szkodziło Teodorowi do ożenienia.“

Kiedy starzy prowadzili taką daléj rozmowę, Julia weszła do swego pokoiku i wsparłszy zmęczone ciało na łóżku, sama jedna ze swoją boleścią, wśród ciemności, długo w noc przesiedziała. — Lecz drugiego dnia, choć w twarzy były ślady głębokiego cierpienia, odbywała jednak swoje zatrudnienia ze zwykłą punktualnością. Teodora już nie zobaczyła, bo po kilkotygodniowéj niebytności, był tylko powitać rodziców i znów wrócił do siebie.

Przez Julii duszę przelatywały odtąd myśli i uczucia, jak chmury wiatrem gnane; on mię

nie kocha, on mię unika, on kłamał swą miłość — ścigało ją we śnie i na jawie. Choć z sumieniem w zgodzie wytrzymuje katusze, które budzi zwątpienie, bo ten, co był aniołem dla niéj, i cały raj jéj marzeń na raz się rozpłynęły — nie wie, co prawdą, co fałszem. Zniknęła dawna czystość jéj serca, w jéj uczuciu nie było nic świętego, ale tylko boleść, rozpacz, nienawiść nawet. Lecz miała takie chwile, w których zaczerpnęła sił na tę scenę, w których się podniosła ze zwątpienia, a wtedy przeszłość zajaśniała całym urokiem na jéj zachmurzoném niebie, bo wyobraźnia podawała odłamek po odłamku z obrazu jéj miłości. I słyszała słowa i zaklęcia kochanka, widziała jego lica i wzrok tak żywo, jakby stał przed nią, czuła nawet uścisk jego dłoni i wtedy wierzyła, że on ją kochał, kocha i kochać będzie. Ale ta wiara znów ustąpiła miejsca zwątpieniu i znów się przerzuciła w drugą ostateczność. Nie raz myślała, że trzaśnie śród tych walk, jak struna zbyt wyciągnięta, a ta myśl zradzała w niéj rodzaj ponurego szczęścia. Takiém życiem żyła Julia od ostatniego spotkania się z Teodorem.

W tydzień może, hrabina pojechała odwiedzić syna, a dziewczyna zostawiona sama sobie, bez żadnego przymusu, tém smutniéj marzyła. Długo chodziła po ogrodzie, machinalnie odwiedzała wszystkie miejsca prawie, w których obok kochanka przebywała, a pod wieczór stojąc w cieniu drzew, słała wzrok aleją, zkąd hrabina wracać miała. Była to ta sama droga, którą od tak dawna nawykła wypatrywać Teodora.

Zachód słońca już jaskrawym blaskiem złocił ziemię, topole nade drogą długie kładły wieńce, kiedy ujrzała pojazd, a przy pojeździe ktoś konno jechał. „To może on!“ zawołała sama do siebie; — nie wiedziała, czy biedz naprzeciw, czy uciekać w drugi koniec świata. Lecz w miarę jak się zbliżali, i okiem kochanki rozpoznała Teodora, zniknęły wszystkie walki, nienawiści i rozpacz, widziała i czuła jego zbliżenie i nic więcéj. Zajechali przede dwór, konia oddał służącemu i znikł na progu sieni. Julia zaczęła się z wolna przechadzać, czuła, że jéj uczucie budzi się w całéj sile — żeby zdolną była rzucić mu się do nóg, całować proch jego obuwia — byle raz z ust jego usłyszeć: „kocham cię.“ Oh! czemuż — czemuż! nie mogę cię zapomnieć, pomyślała, po wiele razy załamując boleśnie ręce. Naprożno wzywała całéj potęgi ducha; czuła, że jéj wola niknie; bo coby była dała, żeby go w téj chwili mieć, widzieć koło siebie! Kiedy liście szeleściły pod brzegami jéj sukni, po kilka razy zdawało jéj się jednak, iż ktoś za nią idzie — gotową była do ucieczki, a jednak nie śmiała się obrócić i została na miejscu jak przykuta.

Nareszcie usłyszała kogoś, co się zbliżał do niéj cichuteńkim lekkim chodem, zadrżała — a obok niéj stanął Teodor. Ujął nie śmiało jéj rękę i złożył pocałunek.

Dziewczyna odsunęła się od niego i wyrzekła jakby podziemnym głosem: „po co to wszystko! po co! pan się z inną żenisz — pan mię nie kochasz.“

„Julio! nie uciekaj — ja cię proszę. Julio! zostań choć chwilkę zemną,“ i złożył dłonie.

Te słowa, głos i postać mówiącego, zatrzymały dziewczynę. — Zbliżył się do niéj, podał jéj ramię, ona je przyjęła, i pewnie z dawnego nałogu zwrócili się ku szpalerowi z leszczyny.

W milczeniu doszli do kamiennéj ławeczki, ona usiadła biała i nieruchoma, jak statua z alabastru, i z przerażającą spokojnością spoglądała w Teodora, który stał sparty plecami o drzewo, ręce splecione na piersiach, a czoło w niespokojném zadumaniu pochylił ku ziemi. Po chwili podniósł głowę i spojrzał z takim wyrazem, jakby miał wyrzec coś stanowczego. Ale snać odwagi mu zabrakło, bo lekki dreszcz przebiegł jego ciało, twarz wyraz litości przybrała. I topił wzrok w bladych licach dziewczyny, a po chwili mówił zmiękłym głosem, jak gdyby jéj boleści chciał cisnąć jałmużnę: „Julio! choć inną zaślubię, alem ciebie jednę tylko kochał, ciebie jednę do śmierci kochać tylko będę.“

Konwulsyjne drzenie jakby zewnętrznego bólu przebiegło twarz dziewczyny, ale jéj zbladłe czoło zajaśniało dumą dziewiczą, i choć głos był równy, bez żadnego zajęcia, i jakby płynął z zlodowaciałych piersi, wyrzekła jednak:

„Teodorze, dla czegoś mi dawno o tém nie powiedział, że chcesz inną zaślubić; nie miałam zamiaru narzucania ci się, ani być zawadą do twego szczęścia. Od téj chwili jesteś wolny.“

Te słowa Julii poruszyły miłość własną

Teodora, lekki rumieniec przebiegł mu skronie i odrzekł:

„Julio! ty to mówisz z taką obojętnością, jak gdybyś wychodziła z salonu, w którym się znudziłaś.“

Ten zarzut odbiła zimném milczeniem — tylko na jéj usta wybiegł uśmiech, istny uśmiech konającego. I jéj zbladłe czoło spadło ku piersiom, palce się mimowolnie zbiegły i załamały boleśnie. — Chwilkę w téj postawie siedziała — nagle się podniosła, wyciągnęła dłoń ku Teodorowi, i wyrzekła głosem spokojnym, bez wyrzutu: „Pamiętam chwilę twoich zaklęć i przysiąg miłości. — Ja wszystko zapomnę, ja ci nieba chcę przychylić — o bądź tylko szczęśliwą!“

I silna wola, na którą się zdobyła, tak ją wzruszyła, że się łzy z jéj oczu puściły. On podaną rękę do ust poniósł.

„Bądź zdrów — szczęśliwy! zapomnij mię!“ wyrzekła przytłumionym, ledwie dosłyszanym głosem, i oddaliła się od niego. Teodor nie miał odwagi zatrzymać jéj, ani pójść za nią, choć inny interes, jak interes czułego pożegnania, tu go sprowadził.

Julia weszła do swego pokoiku, i wysileniem spokojności zmęczona, prawie bez zmysłów upadła na łóżko. To chwilowe odrętwienie ujęło jéj cierpienia, bo choć wyobraźnia przesuwała scenę po scenie, które na dnie jéj serca leżały, lecz ich uczucia — prawie nie miała. Ten stan był bliższy snu jak rzeczywistości.

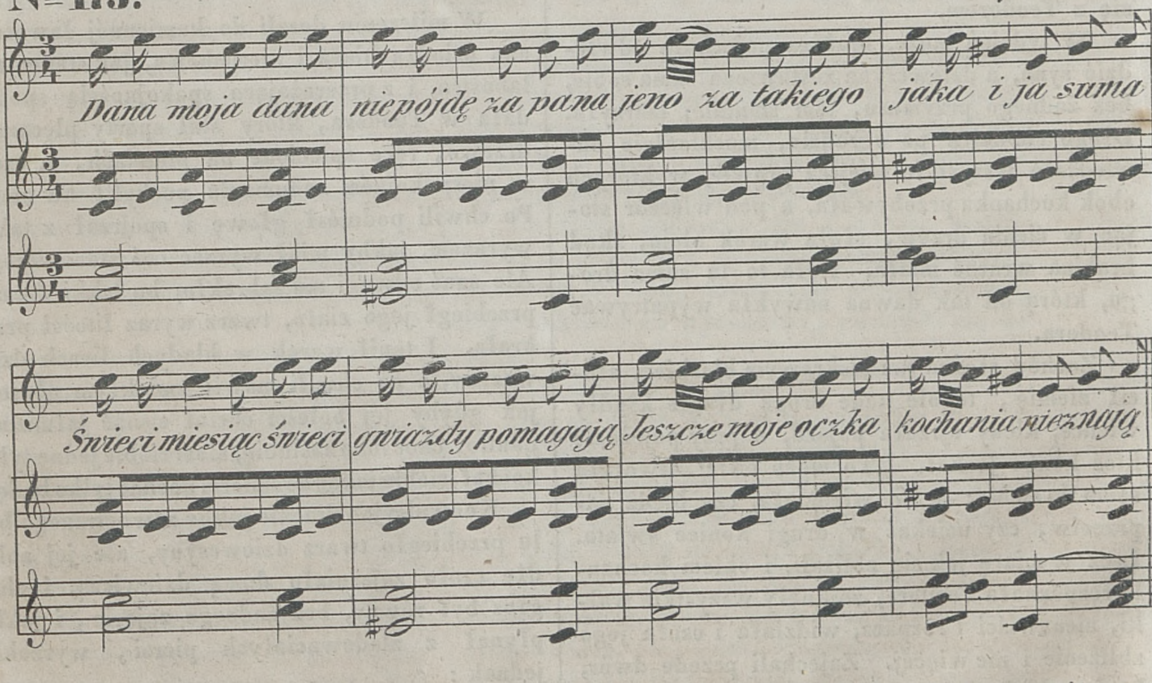
Dość długo tak spoczywała, bo się już ciemnić poczęło, kiedy się szeroko drzwi jéj pokoiku rozwarły, i weszła hrabina z lampką w ręku.

Julia się podniosła, lecz natychmiast bezwładnie upadła na łóżko!

(Dokończenie nastąpi.)

№175.

Przysucha.



Text do *Nru. 175.*

Dana moja, dana, nie pójdę za pana,
Jeno za takiego, jaka i ja sama;
Świeci miesiąc świeci, gwiazdy pomagają,
Jeszcze moje oczka kochania nie znają.

(*Wacł. z Oleska,* P. l. str. 155.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)